LUCJUSZ

Przyznaję – nie potrafiłem znaleźć klucza do postaci Lucjusza. I doprawdy nie wiem, co było przyczyną, że nie chciała się ona poddać żadnemu schematowi organizacyjnemu.

Na pozór wszystko było proste: oczywista niekonwencjonalność postaci Lucjusza – alkoholizm, regularne pobyty w zakładach karnych czy pewna awanturniczość przeciwstawione miłości do literatury i swoistej erudycji - powinna była ułatwić mi zadanie. A jednak Lucjusz wciąż mi się wymykał niczym sprytna niewiadoma w pogardzie mająca każdy uniwersalny algorytm.

-Wstydzę się tego, co robię – powiedział mi, gdy pierwszy raz, pewnego zimowego przedpołudnia, zajrzałem do jego nory.

I może właśnie o to codzienne, pozwalające otworzyć oczy, wyjść na podwórko i pokazać się ludziom, światu, przemaganie poczucia wstydu chodzi?

- Przecież nie robisz nic czego musiałbyś się wstydzić – odpowiedziałem z przekonaniem, gdyż w moim mniemaniu Lucjusz zasługiwał na szacunek w stopniu nie mniejszym niż większość obywateli naszego miasteczka.

Czego właściwie wstydził się Lucjusz? Swojej bezradności, która nie pozwalała mu być godnym ojcem zapewniającym byt rodzinie? Warunków, w jakich żył? Dobijającej do tuzina liczby swoich dzieci? A może swojego pijaństwa i wynikającej z niego porywczości, ślady której często na twarzy nosiła jego żona? Czy też tego, że – aby zdobyć pieniądze na alkohol – często był na bakier z prawem?

W połowie października Lucjusz przyszedł do mnie wymachując gęsto zadrukowanym świstkiem papieru.

- Dostałem wezwanie do odsiadki – zakomunikował. – Ale popatrz: napisali za co, gdzie, a nie podali od kiedy. A co ja, wróżka jestem?

Podrapał się po głowie i dodał :

- Nie chciałbyś kupić paru kosmetyków? Markowe. Niekradzione – i wyciągnął z kieszeni błękitne pojemniki i pudełeczka. – Rozumiesz, pożegnalna imprezka.

- Nie, Lucjusz, dzięki.

Na drugi dzień z tajemniczą miną zademonstrował mi opasłą księgę w poszarpanej, granatowej oprawie.

- Zobacz, co mam. Prawdziwe cudo. Fińska. Oryginalna.

Album zawierał zbiór przedwojennych, czarno-białych fotografii Finlandii. Lasy, morskie wybrzeże, wioski i miasteczka, olbrzymie jeziora poprzecinane wąskimi groblami, łodzie rybackie, konne wozy, prace rolne...

- Weź ją.

- Co ja z nią zrobię...

- Lubisz książki, u ciebie będzie na swoim miejscu.

- Po co mi fińska książka ..?

- Weź ją, nie chcę pieniędzy...

Dałem mu dziesięć złotych.

Nie było go przez całą zimę. Przez ten czas synowie Lucjusza, z których najstarszy miał czternaście lat, musieli zadbać o ogrzanie mieszkania. Co wieczór widziałem ich drobne sylwetki uwijające się przy stercie, przyniesionego przez młodsze dzieci, drewna czy chrustu.

Gdy Lucjusz wrócił własnoręcznie przez niego posadzony kilkanaście lat temu przy płocie krzak bzu pokrył się właśnie śnieżnobiałym pióropuszem. Lucjusz siedział na progu zatopiony w lekturze. Czytał pisma Nietzschego.

- Który Nietzsche jest prawdziwy? – spytał. – Ten piszący o „rasie panów" i „nadludziach" czy ten obejmujący katowanego przez dorożkarza konia? Ten racjonalny czy ten popadający w obłęd?

Z wiadomych przyczyn lubił też książki Pilcha.

Potem na pewien czas pochłonęła go poezja, zwłaszcza „ Kwiaty zła" i „ Źdźbła trawy".

Lucjusz mieszkał na parterze starego, położonego w głębi podwórka budynku nazywanego „barakiem". Piętro zajmowała jego żona, z którą był od niedawna rozwiedziony, i dwunastka dzieciaków. Zresztą może dzieci było jedenaścioro albo trzynaścioro, duże wzajemne podobieństwo oraz minimalne odstępy między nimi utrudniały ich identyfikację, a co za tym idzie dokładne policzenie, mimo iż od dobrych paru lat ich liczba nie ulegała zmianie. Kiedy jednak utrwaliłem sobie w pamięci, który z podobnych kropka w kropkę do ojca synów Lucjusza ma na imię Jurek, to po jakimś czasie okazywało się, że miejsce Jurka zajmował niepostrzeżenie, zdążywszy podrosnąć, następny w kolejności Pawełek, zaś Jurek awansował w hierarchii wiekowej o szczebel wyżej, zastępując Piotrusia. Na dodatek nigdy nie widziałem dzieci Lucjusza wszystkich naraz, ukazywały mi się wyrywkowo, pojedynczo lub parami, tak czy inaczej fragmentarycznie w swej bratersko – siostrzanej całości, więc nigdy nie wiedziałem, który akurat fragment piramidki widzę.

Tuż obok Lucjusza mieszkała postawna kobieta zwana potocznie Grubą Kryśką. Towarzyszem życia Grubej Kryśki był przez pewien czas wątły i fioletowy na twarzy jegomość o nieznanym mi do dziś imieniu. Czas spędzali głównie na przepijaniu jego renty lub jej zapomogi. Ich potrzeby znacznie przerastały pozostające do dyspozycji środki i nieuchronną konsekwencją tego stanu rzeczy był nadzwyczaj ubogi wybór trunków jakimi codziennie się raczyli. Prawdę mówiąc przez większą część roku nie było żadnego wyboru, albowiem na pokrytym pociętą ceratą stole pojawiała się najczęściej znajoma butelka denaturatu. Czasami jesienią, gdy Grubej Kryśce udało się spieniężyć nazbierane wczesnym rankiem w sobie tylko znanym miejscu wiaderko podgrzybków, następował odwrót od tej trunkowej monotonii. Wtedy na stole pojawiało się parę flaszek słodkiego, mile łechcącego podniebienie wina „Pokusa" lub „Rozkosz".

Sielanka niestety nie trwała długo. Pewnego wiosennego poranka Lucjusz znalazł fioletowego jegomościa leżącego z twarzą w trawie, zupełnie jakby silne pragnienie zmusiło go do zlizywania kropel porannej rosy ze świeżych źdźbeł. Spomiędzy łopatek wyrastała mu czarna rękojeść sporych rozmiarów kuchennego noża.

Zamroczoną Grubą Kryśkę wyciągnięto z wyra i zabrano na komisariat w celu przesłuchania, ale stosowana systematycznie cowieczorna dawka pośledniej jakości alkoholu sprawiła, że główna oskarżona nie była w stanie odtworzyć wydarzeń z ostatnich dwunastu godzin. Po dwóch dniach bezowocnych pytań zwolniono ją do domu nie stawiając żadnego zarzutu.

Na mieszkańców kamienicy padł blady strach. Stara Wiśniewska wychodząc z bramy rozglądała się czujnie na boki, gotowa w każdej chwili uskoczyć przed śmiertelnym ciosem ostrego kuchennego noża. Mimo opanowania do perfekcji sztuki uników, obowiązek wieczornego wyrzucania śmieci powierzała jednak zięciowi.

Pierwszego maja Lucjusz wszedł do Unii nieco chwiejnym krokiem człowieka znajdującego się w nieprzerwanym, prawie tygodniowym alkoholowym ciągu.

- Jak tam w Unii ? – zagadnąłem go, gdy w przyjaznym cieniu swego maciupkiego podwórka oddawał się przyjemności gry w karty z jednym ze swoich butelkowych towarzyszy.

- Wyraźnej poprawy jeszcze nie widać – odparł podnosząc wzrok znad rozcapierzonych palców. – Ale ma być lepiej.

Nad domem Lucjusza łopotała dumnie biało-czerwona flaga – jedyna w okolicy.

Wieczorem z okazji naszego wstąpienia do Unii Europejskiej Lucjusz urządził na podwórku przed domem grilla. Nęcący zapach pieczonej kiełbasy roznosił się po okolicy, zwabiając wszystkich zainteresowanych. Gruba Kryśka przyniosła konserwowe ogóreczki w wysokim słoju, pan Henio dumnie zaprezentował flaszkę żytniej, Rysio pobrzękiwał kilkoma piwami, nawet stara Wiśniewska przyglądała się z bezpiecznej odległości całemu zamieszaniu, w końcu dołączając do towarzystwa z bochenkiem chleba w dłoni. Impreza ciągnęła się długo w noc, dyskusjom nie było końca. Po zapadnięciu zmroku Lucjusz wyciągnął z szopki stertę starych desek i rozpalił ognisko. Jego kumple ciągnęli do światła jak ćmy, jak ponure zjawy wyłaniające się na umówiony sygnał z mroku

Równo o północy pan Henio wydobył skądś stary, skrzypiący rower Lucjusza i począł zataczać na nim chybotliwe kręgi wokół dogasającego ogniska, a chrapliwy, jakby z trzewi się dobywający, śmiech Grubej Kryśki ścigał go przez podwórko, śmiech, który niczym wolny, nieskrępowany żadnymi więzami wędrowiec rozchodził się coraz dalej i dalej przekraczając pozbawione już szlabanów i budek strażniczych granice i docierając aż po krańce zjednoczonej właśnie Europy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

andres, dodano 27.02.2020 15:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.